

# Wiciowa DROGA



DWUTYGODNIK ŁÓDZKIEGO ZWIĄZKU MŁODZIEŻY WIEJSKIEJ

Nr 5 (13)

ŁÓDŹ, 12 KWIETNIA 1947 R.

Rok 11

## POŚWIĄTECZNE MYŚLI

Wielkanoc to chyba najradośniejsze święto ze wszystkich świąt...

Kiedy myśli o nich człowiek, stają mu w wyobraźni radosne i dobre sprawy. Podzielił się jajkiem wielkanocnym z najbliższymi w domu, z sąsiadami bliższymi i dalszymi, dzielił się nim w naszej wiciowej gromadzie, życzyli sobie przeróżnych pomyśleń. Ścisnęły się w braterskim, serdecznym uścisku nasze dłonie, życzliwie i serdecznie patrzyły nasze oczy, z usł naszych padały słowa płynące od serca... Wyzwołyły się z nas wtedy najpiękniejsze wartości: poczucie braterstwa i wzajemnej życzliwości. Pogodne spojrzenia, roześmiane twarze i ciepłe słowa stworzyły atmosferę, w której nam było dobrze. Świat, ten nasz świat, pełen codziennych trosk i kłopotów wydał nam się dziwnie piękny i radosny. Inaczej niż zwykle patrzyliśmy wtedy na błotną, pełną bajor drogę w

naszej wiosce, inaczej na kryte słomą chałupy, i inaczej na jednoizbową, starą, walącą się szkołę w naszej wsi. To co normalnie budziło w nas uczucie bezsilności, to co swoim beznadziejnym obrazem szeptało nam na każdym kroku, że źle jest u nas w wiosce, teraz, w świątecznej atmosferze wzbudzało w nas uczucia zgoła inne. Jest nas tyle ludzi! Tyle młodych mocnych dłoni, tyle serc jarzących się dobrą wolą! Wybrukujemy, wywirujemy drogę, która idzie przez naszą wieś! — Wspólnym, zgodnym, radosnym wysiłkiem zbudujemy piękną, dużą szkołę, postawimy na miejsce starych, słomianych chat — piękne, pełne słońca i wygody, domy mieszkalne! Dokonamy tego, bo przecież tyle nas jest, a w każdym z nas goręje radość życia, chęć wspólnej pracy i wola tworzenia rzeczy nowych, lepszych, piękniejszych...

Jan Kasprowicz

### ŚWIT WIOSNY

Drzew pękających i drobniałkiej trawy,  
Co tan zaściela miękkim aksamitem,,  
Woń załatuje. U góry sinawy  
Szereg obłoków spiera się z błękitem

O panowanie w przestworzu — wśród wrzawy  
Dziłkiego płactwa, co, jak łańcuch; zbitem  
Powraca stadem z zamorskiej wyprawy...  
Las szumi cicho, nad nim z blasków sitem

Słońce wyjrzawszy spoza chmur, miliony  
Brylantów sieje na deszczem zroszony  
Milion wierzchołków, na mchy, na radosny

Tum jasnych śnieżek, na białe stokrotki,  
Żółte pierwiosunki, na fiołek słodki  
I na sasanki, pierwsze dzieci wiosny...

# Jedziemy na Walny Zjazd

Trzeci po wojnie Walny Zjazd Łódzkiego Związku Młodzieży Wiejskiej „Wici”. Po raz trzeci po wojnie zjeżdżamy się do Łodzi wyłącznie w sprawach związkowych. Co jest motorem naszego działania? co każe nam mimo trudności organizacyjnych, mimo straty cennego czasu, pomimo wielu przeszkód, jakie stają nam na drodze — przyjeżdżać do Łodzi na Walny Zjazd? To wola tworzenia lepszego życia. Wiemy, że lepsze życie tworzyć możemy jedynie gromadnym wysiłkiem, poprzez działanie organizacyjne. Na Walnym Zjeździe ma się zdecydować **co ma robić i jak ma robić** nasza organizacja w przeciągu rocznego okresu. Wiemy, że od nas zależne będą decyzje jakie zapadną na Zjeździe. Dlatego przyjeżdżamy do Łodzi, aby w Zjeździe uczestniczyć.

Tegoroczny Walny Zjazd jest ważny. Być może, że ważniejszy od wielu Zjazdów, jakie odbyły się już w Łodzi. Dlaczego? Odpowiedź nie jest taka prosta.

Jesteśmy starą organizacją. Mamy w swej historii zwycięstwa i porażki, mamy poza sobą wiele przeróżnych dokonanych prac, mamy poza sobą bardzo wiele włożonego wysiłku. Od początku swego istnienia Związek Młodzieży Wiejskiej walczył

o rzeczy nowe i lepsze. Walczyliśmy o oświatę dla wsi, walczyliśmy o lepszy byt materialny, walczyliśmy o lepszy ustrój... O to „Wici” walczyły, o to walczą i o to będą walczyć dopóki będą istnieć. To jest niezmiennie.

Są jednak rzeczy w naszym wiciowym kręgu, które pod wpływem biegu zdarzeń, pod wpływem zmieniających się warunków otoczenia muszą ulegać przemianom. W ciągu istnienia naszego Związku zmieniały się, zmieniają i będą się zmieniać ludzie, formy pracy, metody pracy, aktualność problemów związkowych... Takie jest prawo życia, takie jest prawo rzeczywistości... Dlaczego tak jest? Dlatego, że walczyć o swoje cele chcemy metodami najskuteczniejszymi.

Dzisiejszy etap naszego związkowego życia, to właśnie etap, w którym Związek wskutek zasadniczych zmian warunków społeczno-gospodarczych, jakie w Polsce zaistniały — zmienia, rewiduje formy i metody pracy, stawia sobie do rozwiązania nowe problemy.

Dlatego tegoroczny Zjazd jest ważny.

Świadomi tych spraw, w pełni poczucia odpowiedzialności za rozwój i jedność organizacji na Zjazd jedziemy.

## KOMUNIKAT

Wobec zbliżającego się Walnego —Zjazdu Delegatów Z. M. W. R. P.: „Wici”, w trosce o jedność Związkową, i o skoordynowanie wszystkich wysiłków młodzieży wiciowej ra jednej płaszczyźnie organizacyjnej i ideowej w dniu 29 marca 1947 roku został powołany z ramienia Zarządu Głównego Z. M. W. R. P.: „Wici”, Krajowego Komitetu Demokracji „Wici”, oraz przy udziale kol. Ignara, Gałaja, i Grada **CENTRALNY KOMITET ZJAZDOWY**, w skład którego wchodzi koledzy:

Ignar Stefan — przewodniczący  
 Oźga-Michalski Józef — wiceprzewodniczący  
 Jagusztyn Władysław — sekretarz  
 Jaroszek Stefan  
 Dejworek Bolesław  
 Gałaj Dyzma  
 Grad Mieczysław  
 Grzegorski Czesław  
 Matus Jerzy  
 Stasiak Ludomir

Centralny Komitet Zjazdowy jest powołany do przygotowania Walnego Zjazdu i działa w ramach statutowych.

W dniach 27—28 kwietnia 1947 r. odbędzie się w Warszawie **OGOLNO-POLSKI ZJAZD ZW. MŁ. WIEJSKIEJ R. P. „WICI”**.

## S. p. Generał KAROL ŚWIERCZEWSKI

Po śmierci człowieka na wsi, słyszy się często: — „szkoda go, dobry był człowiek...” Wieś żałuje dobrego człowieka. Razem z rodziną najbliższą płaczą nad grobem sąsiedzi bliżsi i dalsi i wszyscy, z którymi życie łączyło nieboszczyka. Wspominają jego życie: co robił jak robił, jak był sprawiedliwy, dobry...

Kiedy zginął gen. Świerczewski, przypominały mi się dwa obrazy. Jeden z jego osobistego życia, drugi z czasów walk w Hiszpanii, oba świadczą o jego wielkim człowieczeństwie.

Słyszałem na terenie Łodzi o tym, jak pewna lekarka wezwana do chorego dziecka zajęła do skromnego domku, stojącego na uboczu. W domku tym dowiedziała się, że to chore dziecko to córka generała Świerczewskiego. Nie mogła sobie wytłumaczyć, dlaczego człowiek na tak wysokim stanowisku, generał — mieszka tak skromnie za miastem. W czasie rozmowy zagadnęła: „Czyżby dla pana generała nie było mieszkania w Łodzi?”. Otrzymała taką mniej więcej odpowiedź: „Ano nie. Nie przydzielili mi mieszkania w Łodzi — widać niema. Łódź jest przeludniona”. Jeśli się zważy, że tylu różnych ludzi, nie nie dających społeczeństwu zajmuje piękne mieszkania w Łodzi, to jakże pięknie wygląda postać generała Świerczewskiego człowieka sprawującego tak ważne funkcje społeczne — mieszkającego właśnie w skromnym mieszkaniu poza miastem. Jak karleją przy nim przeciętni ludzie. — Słysząc to opowiadanie myślałem sobie — Dobry Człowiek Wielki Człowiek...

Drugi obraz wiąże się z okresem walk w Hiszpanii. W tych to czasach w Hiszpanii walczyli przeciwko generałowi Franco i nasi koledzy — Wicjarze. Między innymi walczył tam również kolega Pacyna, o którym nic dzisiaj nie wiemy. Kolega Pacyna po przyjeździe do Polski odwiedzał nas na ul. Książęcej 4 w Warszawie (ówczesny lokal Zarządu Głównego) i całym go-

dzinami opowiadał o walkach Polaków w Hiszpanii. Słuchaliśmy z wielkim zainteresowaniem. Opowiadał nam kolega Pacyna, jak polskie baterie broniły przejścia w górach przed Marokańczykami. Pamiętam jego oczy, jak mówił: „wiecie kolego — opowiadał — tam woda była droższa od krwi ludzkiej. Wodą trza było chłodzić lufy cekaemów i armat. Tę wodę nosiły nam z nizin dziewczęta hiszpańskie, ustawione w łańcuch. Niemieckie samoloty latając bombardowały nie schrony artyleryjskie, a właśnie ten łańcuch dziewczęcych rąk. Często — mówił — dochodziło do nas wiaderko czerwonej wody. To była krew hiszpańska, którą konająca wylewała nad wiaderem, żeby nie zmarnowała się na ziemi. Front trzymał się jak mur. My, Polacy — opowiadał Pacyna — trzymaliśmy na niewzi piechotę marokańska, która oszukiwana przez faszystów walczyła za nie swoje sprawy... W przerwach między atakami odwiedzał nas Walter (pseudonim generała Świerczewskiego z walk w Hiszpanii). Raz siedzimy sobie po straszliwym natarciu przed schronem, bardzo głodni i bardzo zmęczeni. Opodał, na strzaskanym drzewie, usiadł sobie wrona. Wziąłem karabin — mówi kolega Pacyna — chcąc upolować ją sobie na positek. Wrona jakby czując swą bliską śmierć zaśpiewała: ga! ga! ga... Już miałem strzelić, a wtem ktoś złapał mnie za ramię, wołając: — „nie strzelajcie, przecież ona po polsku mówi...” Tym człowiekiem był Walter — gen. Świerczewski.

Zastawiając to w chwili jego śmierci pomyślałem sobie: — ten człowiek miał serce!

I tak to już jest na świecie, że kiedy człowiek umiera, to nieważne są żadne pomniki, krzyże i medale, — ważne jest to, czy żyją we wspomnieniach jego czy ny ludzkie, których dokonał na ziemi.

Cz. Grzegorski.

W dniu 28 marca 1947 roku zginął od kul faszystów ukraińskich  
w czasie pełnienia służby żołnierskiej

Ś. P.

**KAROL ŚWIERCZEWSKI**  
generał broni

pseudonim „Walter”, II wiceminister Obrony Narodowej, Dowódca Brygad Międzynarodowych w walkach o wolność Hiszpanii, Współtwórca odrodzonego Wojska Polskiego, zwycięzca znad Nysy Łużyckiej, Budowniczy Polski Ludowej.

**Cześć jego pamięci**

WOJEWODZKI ZW. MŁODZ. WIEJSK. „WICI”  
W ŁODZI

# W naszej świetlicy

Uczymy się sami...

## Zagadki dziedziczności

Dziecko podobne jest do rodziców. O tym każdy wie doskonale. Gdy włożyć do ziemi ziarno grochu, to wyrosnie na pewno nie fasola, a groch i w dodatku ten sam gatunek z którego pochodziło ziarno. Tego również nie trzeba nikomu tłumaczyć. Ale chociaż każdy świetnie zna te zjawiska z codziennego życia, to jednak przy głębszym zastanowieniu wydaje się niezrozumiałe i tajemnicze. W jaki sposób przenosi się podobieństwo (kolor oczu na przykład) z dziadka na wnuka? Gdzie w małym ziarenku ukryty jest rozkaz, który każe młodej roślinie kwitnąć w pewnym określonym kolorze; na białe dajmy na to, czy na czerwono? Uczni interesowali się od dawna zagadnieniem dziedziczenia cech rodzicielskich przez potomstwo. Dopiero jednak pod koniec XIX wieku nauka o dziedziczności zwana odłąd **genetyką** zaczęła stawiać pierwsze kroki.

Grzegorz Mendel był zakonnikiem. Mieszkał przy klasztorze i bardzo lubił kwiaty. Hodował je z wielkim zamiłowaniem, to też bardzo wiele ich rosło w ogrodzie klasztornym. Przechadzając się między klombami zastanowił się kiedyś Mendel, czy nie można by z góry przewidzieć na jaki kolor zakwitnie zasiany w ziemię groszek. Zaczął wykonywać próby, zapisywać wyniki. Robił to wiele lat, miał przecież dużo czasu. Wysiłki jego nie poszły na marne. Przekonał się bowiem, że dziedziczenie cech odbywa się w bardzo regularny sposób. Można ująć je w bardzo proste prawa. Do dziś dnia mówimy o trzech prawach Mendla.

Mendel pragnął, otrzymać ziarno pochodzące od rodziców (w tym wypadku roślin) niepodobnych do siebie, o cechach przeciwnych. W tym celu zapytał nawzajem groszek kwitnący na czerwono z groszkiem kwitnącym na białe. Przekonał się, że z ziarna tego wyrosnie młody groszek ani czerwony, ani biały, lecz różowy. O tym właśnie mówi pierwsze prawo Mendla. Następnie próbował skrzyżować (tak się to w genetyce nazywa) dwie takie młode otrzymane rośliny, kwitnące na różowo i okazało się, że w tych jakgdyby wnukach odzywają się cechy pierwszej pary skrzyżowanych roślin. Część z nich jest czerwona, a część biała. Wykonując szereg prób Mendel obliczył stosunek w jakim te barwy występują: na każde 4 rośliny — 3 z nich są czerwone, a 1 biała. Zjawisko to opisuje II prawo Mendla. Teraz trzeba zastanowić się: dlaczego czerwonych więcej jest niż białych? Przecież szanse mają równe: była na początku jedna roślina czerwona i jedna biała. Mendel doszedł do wniosku, że barwa czerwona jest silniejsza (w tym

wypadku naturalnie) i nazwał ją dominującą (przeważającą). W miarę wykonywania coraz większej liczby doświadczeń okazało się, że prawa te dotyczą nie tylko barwy i oczywiście nie tylko grochu. Stosują się również w wypadku dziedziczenia kształtu nasienia, czy owocu, smaku, wielkości. Stosują się również do zwierząt. (Inni uczeni przeprowadzali doświadczenia na myszkach białych i czarnych, dużych i małych). Wreszcie dotyczy to również ludzi. Uprzytomnijmy sobie ile przeróżnych cech decyduje o wyglądzie rośliny, zwierzęcia czy człowieka. Trudno je nawet wszystkie wyliczyć. I każda taka para cech przeciwnych (np. włos prosty i kędzierzawy, smak słodki i kwaśny, liść duży i mały itd.) dziedziczy się ściśle według podanych wyżej praw, jedna para niezależnie od drugiej. O tej niezależności mówi właśnie trzecie prawo Mendla.

Gdy Mendel ogłosił wyniki swoich doświadczeń, nikt nie zwrócił na nie specjalnej uwagi. Przez długi czas leżały zapomniane. Dopiero w szereg lat później inni uczeni przypomnieli sobie o nich i od tego czasu praca Mendla stała się podstawą nowej nauki.

Przede wszystkim ma ona ogromne znaczenie praktyczne dla rolników, hodowców, ogrodników. Opierając się na prawach dziedziczenia można tak pokierować hodowlą, żeby otrzymać nowe zupełnie gatunki o pożądanym cechach. Udało się na przykład otrzymać hodowcom duże śliwki o małych pestkach, skrzyżowali bowiem małą, niejadalną śliwkę o małej pestce z dużą, jadalną, której pestka był duża.

Dalej, uzyskano kaktusy bez kolców, które nadawały się na paszę dla bydła w południowych krajach, też nie inaczej jak drogą krzyżowania... Przy przeprowadzaniu tego rodzaju hodowli trzeba koniecznie wziąć pod uwagę, która z dwóch cech przewstawnych jest cechą dominującą, inaczej bowiem wszystkie wysiłki spełzyłyby na niczym.

Na tej stronie praktycznej nie kończy się jednak cała genetyka. Ma ona również oblicze inne, czysto naukowe. Dotyczy ono tych właśnie zagadnień, które poruszyliśmy na początku. Co jest przyczyną przenoszenia cech dziedzicznych z rodziców na potomstwo?

Każda żywa istota jak wiemy posiada budowę komórkową (patrz — artykuł pt. „O komórce” w nr. 3 Wiciowej Drogi). Składa się w zależności od swych rozmiarów z mniejszej lub większej ilości komórek. Każda z komórek posiada jądro. We-

wnętrz tego jądra wykryto pod mikroskopem jakby nić, czy może tylko szereg pojedynczych paleczek, które przylegając do siebie stwarzają wrażenie nitki. Substancja z jakiej utworzona jest nić nazywa się chromatyną, pojedyncze ciała to chromosomy. Zauważono również, że gdy podczas wzrostu rośliny lub zwierzęcia komórka dzieli się, wraz z nią dzieli się również na pół każdy chromosom. Wskutek tego każda nowopowstała młoda komórka posiada ich taką samą ilość jaką miała komórka stara. Ciekawym jest, że ilość chromosomów jest charakterystyczna dla każdego gatunku. Każda bez wyjątku komórka człowieka posiada 48 chromosomów, konia 8, pewnego rodzaju glisty 2 itd. Ilość ta nie zmienia się nigdy. Uczeni wysunęli przypuszczenie, że w tych właśnie chromosomach, w jądrze każdej komórki mieszczą się zawiązki cech. Zawiązkom tym nadano nazwę **genów**.

Rozmnażanie nie jest niczym innym jak tylko podziałem komórki, podziałem poza organizmem rodzicielskim. Młoda roślina lub młode zwierzę otrzymuje więc od swoich rodziców nieliczną ilość genów — zawiązków cech przyszłych. Zawiązki te w sposób jeszcze nie wytłumaczony kształtują, nadają wygląd i charakter młodego organizmowi.

Próba wytłumaczenia jednej z najciekawszych tajemnic przyrody, jaką jest dziedziczenie, nie została jeszcze zakończona.

Uczni, którzy położyli największe zasługi w tej dziedzinie to — Hugo de Vries (czytaj Hugo de Wris), Weissman i wielu innych.

Świat genów staje się coraz bardziej zrozumiałym, ale dużo chyba jeszcze wody upłynie zanim poznamy go całkowicie.

H. Trzeźniewska

Jack London

## Shańbione czoło

(Nowela)

Ciąg dalszy (II)

Całą zimę spędzili w samotności i nędzy na jednym z najdalszych Aleutów. Wiosną wziął ich na pokład inny statek, również polujący na fokki. Był to szczególny traf, zdarzający się raz na tysiąc razy. Ciągłe jednak i bez przerwy dzikość, zwierzęca dzikość, osaczała jego życie. Przechodząc dalej ze statku na statek, żeby nie wracać na Kameczatkę, dostał się nareszcie na taki, co płynął ku południowi. Wzdłuż brzegów Alaski nie spotykali innych ludzi, prócz tłumów dzikich. Każdemu rzuceniu kotwicy wśród poszarpanych wysepek lub pod groźnymi skałami kontynentu, towarzyszyły niezbędnie: bitwa lub burza. Albo zrywał się wichur, siejąc zniszczenie, albo jak spod ziemi wyrastały bojowe łodzie tubylców, wytatuowanych barwami wojny. Lecz jeden po drugim sprawdzali tylko na własnej skórze krwawe enoty dobrze nabitych strzelb piratów i nieomylnego ich oka.

Na południe i na południe, wciąż dalej i dalej, ku brzegom mitycznej Kalifornii. Mieli tam być podobno jacyś hiszpańscy awanturnicy, co przebojem wywalczyli sobie drogę aż z Meksyku. Liczył bardzo na tych poszukiwaczy przygód. Byle uciec do nich — reszta już głupstwo. Któż by tam liczył rok albo dwa zwłoki? A potem Europa!

Ale nie spotkali Hiszpanów. Wciąż tylko bez końca i miary rozpościerała się i rosła nieprzebita ściana dziczy. Obywatele Krańców Świata, w bojowych barwach, napadli ich i odegnali precz od brzegów. Kiedy jedna łódka została odcięta, a wszyscy ludzie poginęli, dowódca porzucił pościg i zawrócił ku północy.

Lata mijaly za latami. Służył pod Tabenkowem, kiedy budowano Michajłowską redutę. Dwa lata spędził w kraju Kuskowiny i dwa lata z rzędu bywał w czerwcu u źródła rzeki Kotzebue Sound, w tym bowiem czasie zbierały się tam plemiona na jarmark. Można było dostać piękne i plamiste skóry syberyjskiego jelenia, kość słoniową z Diomados, skóry lwa morskiego, z nad brzegów Oceanu Lodowego; były tam

piękne noże myśliwskie angielskiej roboty, dziwne lampy kute w kamieniu, przechodzące drogą handlu od plemienia do plemienia, niewiadomo skąd i kiedy. Majewski wiedział, że w tej szkole najlepiej nauczy się potrzebnej mu geografii. Spotykał tam bowiem Eskimosów z Nordtoy Sound, z Królewskiej Wyspy i wyspy Świętego Wawrzyńca, z przyłodka Księcia Walii i cypla Barrów. Wszystkie te miejsca nazywali po swojemu, każdy inaczej, zaś odległości mierzyli na dni.

W pustynnym kraju odbywały się te jarmarki dzikich, a z bardziej jeszcze pustynnych okolic pochodziły owe lampy kamienne i stalowe noże. Majewski żartował, przypodchlebiał się, podkupywał, w rezultacie zaś dzieci pilnowali, aby przyprowadzono mu każdego, kto przybywał z dalekich stron lub od nieznanego plemienia. Wszyscy opowiadali o niezliczonych niebezpieczeństwach przebytej drogi: drapieżnych zwierzętach, wrogich plemionach, bagnistych lasach i potężnych lańcach górskich. Niezmiennie jednak w każdym opowiadaniu powtarzała się mniej lub więcej mglista wieść o białym człowieku, jasnowłosym i niebieskookim, co walczył jak szatan i ciągle domagał się futer. On i ludzie jego grasowali stąd, ku wschodowi, daleko, daleko ku wschodowi. Nikt nie widział go na własne oczy, ale opowieść o nim była na ustach wszystkich.

Twardą miał szkołę. Nie łatwo było bowiem nauczyć się jako tako owej domoroślej geografii, objaśnianej w dziesięciu narzeczach przez ciemne głowy, co fakty plątały z bajkami, a odległości mierzyły na „sny“, których długość zależała od trudności marszu. Nareszcie jednak zdobył wiadomość, która nappełniła go otuchą: Jasnowłosy człowiek grasował nad rzeką, rzeką wielką, która z wszelką pewnością istniała we wschodniej stronie i zwała się Yukon. Na południe zaś od michajłowskiej reduty istniała również wielka rzeka, zwana przez Rosjan Kwikpak. Otóż wieść głosiła nieśmiało, że obie te rzeki były jedną i tą samą.

## Rzeczy, o których warto wiedzieć!

W Moskwie ma być wybudowany dom ze szkła. Specjalny instytut, zajmujący się badaniem możliwości używania szkła w dziedzinie architektury, osiągnął wyniki które uważane są za całkowicie zadowalające.

Dom ze szklanych cegieł będzie miał niezwykle wygląd. Przez ściany przenikać będzie światło, ale z ulicy, nie będzie można zobaczyć, co się dzieje wewnątrz.

Okna, zrobione są ze specjalnego szkła, złożonego z dwóch nałożonych na siebie warstw, nie będą nigdy pokryte szronem, nawet w czasie największych mrozów.

Woda i gaz przechodzić będą przez rury szklane, które mają tę wyższość, że nigdy nie rdzewieją. Nawet piece będą sporządzone z ogniotrwałego szkła i ogrzewane elektrycznością. W nowym domu wszystko będzie ze szkła: stoły, fotele itp.

W Tower Hill odbyła się niedawno oryginalna uroczystość. Brytyjski gen. major sir Charles Keightley odznaczył po raz pierwszy medalem za waleczność tzw. „Dickin medal” obywatela niebrytyjskiego. Bohaterem tym jest: amerykański gołąb pocztowy „Joe G.I.” którego lot z wiadomością z brytyjskiej kwatery głównej we Włoszech w czasie ostatniej wojny uratował 100 osób od śmierci. W czasie niezwyklej uroczystości gołębia trzymał w ręku amerykański gen. major C. Bissell.

Karp należy do ryb, znanych nie tylko ze swej sily, ale i długowieczności. Przed 11 laty schwyłano po raz szósty karpia, znanego pod nazwą królewskiego karpia cesarza Austrii, Józefa II, karp ten po każdorazowym schwyłaniu wrzucany był z powrotem do wody. Tym razem jednak rybak sprzedał go na rynku w Wiedniu. O karpku tym twierdzono, że po raz pierwszy schwyłany został w roku 1788 i ofiarowany cesarzowi, który przymocował do płetwy karpia złoty pierścień i kazał wrzucić rybę do wody.

W Rosji dokonano odkrycia nowego ziarna chlebowego. Przy różnych doświadczeniach skrzyżowano między

innymi pszenicę z perzem, w ten sposób otrzymując nowy rodzaj pszenicy, którą nazwano hybryda.

W jednym z doświadczalnych gospodarstw zebrano w tym roku 40 centnarów tego nowego ziarna. W czasie nadzwyczaj suchego i upalnego lata, gdy na sąsiednich polach normalna pszenica doszczętnie zmarła — hybryda dała urodzaj nadzwyczajny. Pszenicę tę sieje się raz na kilka lat. Co roku daje bogaty plon. Wytzymała jest na suszę, mróz i wilgoć tak samo jak nasz zwykły perz polny. Nie ulega żadnym chorobom. Kłos ma duży i pełny. W tym roku odbyło się pierwsze pieczenie chleba z hybrydy. Okazał się bardzo dobry i pożywny. W wyniku tego odkrycia pszenica ta będzie siana na wielkich obszarach, na dziesiątkach tysięcy hektarów. Nowe ziarno jest doprawdy wynalazkiem o doniosłości historycznej dla ludzkości. Odkrycia dokonał profesor Mikołaj Cicin, uczeń Miczurina.

W Anglii dokonano niedawno odkrycia, które odkrywa nowe widoki w walce z chwastami. Okazuje się, że pewne substancje chemiczne działają zabójczo na chwasty, nie szkodząc zupełnie roślinie głównej. Tak np. jedna z tych substancji t. zw. „Metoksan” niszczy większość chwastów w zbożu. Ilość metoksanu, którą należy w tym celu użyć, jest bardzo mała. Tak na przykład dla zniszczenia gorczycy, lebiody, jaskra i maku polnego w pszenicy wystarcza użycie jednego kilograma na hektar. Oczywiście, żeby móc równomiernie wysiać tak niewielką ilość metoksanu należy go z czymś zmieszać. Używa się w tym celu kredy mielonej, albo rozpuszcza się metoksan w wodzie w stosunku 1:1.000. Pierwsze próby z metoksanem rozpoczęto w Anglii w roku 1940. W roku bieżącym wyrabia się już metoksan nie tylko dla doświadczeń ale dla użytku rolników. W roku 1945 przeprowadzono doświadczenie na powierzchni prawie 6 tysięcy hektarów. Jak wynika z tych doświadczeń można będzie w niedalekiej przyszłości używać środków chemicznych dla zwalczania wszelkich chwastów jedno- i dwuletnich.

Majewski powrócił do reduty. W przeciągu roku zorganizował ekspedycję w stronę Kwikpaku i wtedy właśnie napotkał słynnego rosyjskiego metysa, nazwiskiem Malakoff, przywódcę najdzikszych i najokrutniejszych wypraw wszelkich szumowin z piekła rodem, przywleczonych na razie z Kamczatki. Majewski został jego przybocznym. Przedostali się przez labirynt wielkiej delty Kwikpaku, obsadzili pierwsze, drobne pagórki północnego brzegu, a potem, z bronią w ciągłym pogotowiu, w małych łódkach naładowanych po brzegi amunicją, i towarami do wymiany, ruszyli w górę rzeki, walcząc z nurtem o szybkości pięciu węzłów, szerokości dwóch do dziesięciu mil. Malakoff zdecydował się wreszcie zatrzymać i ufortyfikować w Nulato. Majewski nalegał, żeby iść dalej. Ale Malakoff postawił na swoim i rozłożył się obozem w Nulato. Nadchodziła długa zima, należało być przezornym i poczekać. Dopiero na przyszłe lato, gdy lody spłyną, ruszyć będzie można dalej w górę Kwikpaku i wywalczyć sobie drogę aż do posterunków handlowych Hudson Bay Company, które dobrze zapłaca za futra. Malakoff nie

słyszał nigdy pogłoski, że Kwikpak był to właśnie Yukon. Majewski zaś nie wspominał mu o tym.

Zaczęło się budowanie fortu. Praca była ciężka. Wielkie ściany z belek wyrastały wśród skarg i jęków Indian z Nulato. Na plecy ich spadały bity, a wszak na rękojeściach batów zaciskały się żelazne dłonie robotników z morza. Niektórzy Indianie uciekali, ale łapano ich i wleczono przemocą do fortu, by winnych i całe ich plemię nauczyć wszechmocnej potęgi knuta. Dwóch umarło pod razami rzemienia, kilku przypłaciło je ciężkim kalectwem, pozostali zaś wzięli naukę do serca i już nie próbowali uciekać.

Późną jesienią, kiedy śnieg zaczął padać, ukończono budowę fortu i właśnie nadeszła pora na futra. Ciężka danina obłożono plemiona. Bicie i smaganie trwało w dalszym ciągu, a nawet dla zapewnienia sobie posłuchu i odpowiedniej ilości dostarczonych skór, porywano jako zakładników kobiety i dzieci, i traktowano je z okrucieństwem, do jakiego tylko rabusie futer są zdolni.

Co warto przeczytać?

## Poemat pedagogiczny

(3 tomy)

Książka Antoniego Makarenki nie darmo nosi tytuł „Poemat Pedagogiczny”. Jest to istotnie pieśń wyśpiewana na cześć dobra i piękna istniejącego w każdej jednostce ludzkiej, na cześć pracy i wspólnoty.

Widzimy w niej, jak kolonia dla nieletnich przestępców, dzieci bez dzieciństwa i etycznych hamulców, zmienia się, dzięki pracy dobrych i mądrych ludzi w zwarty, świadom swej siły i piękna zespół, w karne społeczeństwo wolnych od złych nałogów i radosnych ludzi. Przeżywamy wraz z autorem chwile tragicznej bezsilności na widok upadków moralnych wychowanków i głęboką radość z powodu każdego wzlotu, aby pomyślawszy w końcu o inżynierze Zadorowie i doktorze Burunie stwierdzić, że świętym jest żywioł pracy skoro przejście przezeń działa tak oczyszczająco.

Wydaje mi się, że książka ta, bardziej niż każda inna powinna znaleźć się w rękach wiciarzy, którzy dzięki niej głębiej pojmą wartość pracy zbiorowej i jej uzdrawiający wpływ na dusze ludzkie. Makarenko powiedział: „To wielkie szczęście, kiedy można walczyć o lepsze życie”. To szczęście jest nam dane, w wiciowych szeregach złączeni jedną ideą musimy się nauczyć to szczęście przeżywać tak, jak je przeżywały dzieci z kolonii Gorkiego, nawet wtedy, gdy walka o lepsze życie była tylko czyszczeniem zamulonego stawu.

„Czterdziestu chłopców, przepasawszy biodra najbardziej zniszczonymi spodenkami, przystąpiło do spuszczenia wody. Specjalny drugi oddział zespołowy Karabanowa był w czasie pracy szczególnie piękny. Chłopcy wysmarowani aż po czubek głowy, bardziej przypominałi czarnoskórych, trudno było ich poznać,

a w tłumie robił wrażenie ludzi, przybytych z egzotycznych krain. Już trzeciego dnia wprowadziło nas w zachwyt widowisko zupełnie w naszej szerokości geograficznej niemożliwe; chłopcy wyszli do pracy upięszywszy biodra stylowymi spódniczkami z liści akacji, dębu i temu podobnych roślin podzwrotnikowych. Na szyjach, na rękach i na nogach zjawily się odpowiednie upiększenia z drutu, płytek żelaznych, blachy. Wielu przymocowało do nosa poprzeczne pałeczki a na uszach zawiesiło kolczyki z krążków, gwoździków i śrubek.

Czarnoskórzy nie znali oczywiście ani rosyjskiego, ani ukraińskiego i wypowiadali się wyłącznie w nieznanym kolonistom tubylczym narzeczu, odznaczającym się krzykliwością i przewagą dźwięków gardłowych, rażących ucho Europejczyka. Ku naszemu zdumieniu członkowie specjalnego drugiego oddziału zespołowego nie tylko rozumieli się wzajemnie, ale wyróżniali się również niezwykle gadatliwością i nadolbrzymia jama stawu panował w ciągu dnia niemiłkący gwar rozmów. Wlazłszy po pas w blocko czarnoskórzy z krzykiem zaprzęgają Szklarza albo Jastrzebia do niewymyślnego urządzenia desek w głębi mułu i krzyczą na całe gardło.

Karabanow błyszczący i czarny jak wszyscy, z jakimś potwornym kokiem zrobionym z fryzury, przewraca olbrzymie białka i szczerzy straszliwe kły —  
— Karramba!

Dziesiątki równie dzikich i równie białych oczu skierowuje się na jeden punkt, na który wskazuje egzotyczna ręka Karabanowa, cała w bransoletkach, kiwa ją głowami i czekają, a Karabanow wrzeszczy:

Tak, posiew był krwawy, więc wkrótce nadeszły żniwa. Fort puszczone z dymem. W świetle pożaru wymordowano połowę piratów. Drugą połowę poddano torturom. Pozostał on tylko i Wielki Iwan, jeśli te miotające się po śniegu szczątki nazwać było można Wielkim Iwanem. Majewski uprzytomnił sobie, że Jakaga stoi nad nim i szczerzy zęby. Tak, był to bez wątpienia Jakaga... Ślad bicia czerwieni się wciąż jeszcze na jego twarzy. Zresztą Majewski nie dziwił się bynajmniej zawziętości dzikiego, nienawidził tylko myśli o tym, co tamten z nim uczyni. Przyszło mu do głowy, żeby apelować do Makamuka, wodza plemienia, ale rozsądek dowodził słusznie, że apelacja taka na nic się nie zda. Wtedy pomyślał znowu, czyby nie było warto rzucić się na wodza, połamać mu kości i zginąć w walce. Taka śmierć byłaby szybka. Ale nie mógł łamać kości wodzowi, gdyż w ogóle nie mógł się ruszyć. Rzemienie z jeleniej skóry mocniejsze są od rąk ludzkich. Podczas tych i tym podobnych rozważań nowa myśl przyszła mu do głowy. Skinął ku wodzowi

i dał mu do zrozumienia, że prosi o zawołanie tłumacza, co zna dialekt nadbrzeżny.

— O Makamuk — powiedział spokojnie. — Nie jestem przeznaczony śmierci. Jestem wielkim człowiekiem i szaleństwo byłoby mnie zabijać. Wierzę mi — ja nie umrę. Nie mam nic wspólnego z ta oto padliną.

Spojrzał na jęczące na śniegu szczątki ludzkie, co niegdyś były Iwanem, i dotknął ich pogardliwie końcem mokasynów.

— Tak, tak, jestem zbyt mądry; żeby umrzeć; posłuchaj: umiem przyrządzać pewien czarodziejski odwar. Ja jeden na całym świecie posiadam tę tajemnicę. Chcę ci ją powierzyć w zamian za moje życie.

— Cóż to za odwar? — zapytał Makamuk.

— Czarodziejski odwar.

Majewski zamilkł, jakby wahając się, czy zdradzić sekret.

— Dobrze, powiem ci. Niewielka ilość tego odwaru wtarta w skórę, czyni ją twardą jak skała lub jak żelazo, tak, że żaden najostrzejszy nóż, ani siekiera jej

— Pchaj, napchaj, pchaj, napchaj!

Dzikusy ciasnym i zwartym tłumem rzucają się na urządzenie z desek, i z wysiłkiem i wrzaskiem pomagają Szklarzowi wyciągnąć na brzeg całą tonnę gęstego, ciężkiego mułu.

Ta etnograficzna zabawa wzmaga się pod wieczór, kiedy na stoku lokuje się cała kolonia i długonogie skrzaty oczekują z zachwytem tej chwili, kiedy Karabanow krzyknie: „Gorły riezity!“ — czarnoskórzy o dzikich twarzach rzucają się na białych. Biali w śmiertelnym strachu ratują się na podwórzu kolonijnym, ich przerażone twarze wyglądają z poza drzwi i szczelin. Czarnoskórzy jednak nie prześladowają białych i nie dochodzi do kanibalizmu, chociaż bowiem dzikusy nie znają języka rosyjskiego tym niemniej orientują się doskonale, co to znaczy areszt domowy za naniesienie błota do pokoju.

Jeden raz tylko zaszedł szczęśliwy zbieg okoliczności, który pozwolił dzikusom poigrać z białą ludnością w okolicach stołecznego miasta Charkowa.

Pewnego wieczora, po suchym, upalnym dniu przy szła z zachodu burzliwa chmura. Przelewając się po nią, niby bulgocąca, skłębiona, szara masa, obiegła środek nieba i z rykiem rzuciła się na naszą górę. Drugi specjalny oddział zespołowy powitał ją z zachwytem, na dnie stawu rozległy się ogłuszające krzyki triumfu. Chmura uderzyła w Kriaż ze wszystkich swych dział tysiactonowymi pociskami i nagle, nie utrzymawszy się na chwilejnej huśtawce niebios runęła na nas zmieszawszy ze skłębionym wichrem smugi ulewy, grzmoty, błyskawice i nieposkromioną wściekłość. Drugi oddział zespołowy odpowiedział na to rozdzierającym duszę jękiem i rozpoczął dziki płas w samym środku chaosu.

W tym przyjemnym momencie zjawił się w siałce deszcz. surowy i zaferowany Sinieński, zagrał przeciągły, niepokojący sygnał na trwożę. Dzikusy przerwały płas i przypomniały sobie język rosyjski.

— Czego trąbisz? Co? U nas? Gdzie...

Sinieński wskazał ręką na Podworki, dokąd już śpieszyli obchodząc staw kolonistów. W odległości 100 metrów od brzegu gorącym wielkim płomieniem płonąła chata, a dokoła niej uroczyście pełzały jakieś czastki procesji. Czterdziestu czarnoskórych z wodzem na czole rzuciło się w kierunku chaty. Kilkanaście wystraszonych bab i dziadów wystawiło przeciwko kolonistom, którzy zdążyli już wcześniej przyblec, przegrodę z ikon, a jeden z brodaczy krzyknął:

— Co to was obchodzi? Pan Bóg zapalił, Pan Bóg ugasi...

Obejrawszy się jednak, zarówno brodacze jak i inni wierzący przekonali się, że Pan Bóg nie tylko, że nie przejawia żadnej troski z powodu pożaru, ale z łaski boskiej decydującą rolę w katastrofie pozostawiono nieczystej sile, pędzi na nich z dzikimi okrzykami tłum czarnoskórych potrząsając kosmatymi biodrami i podzwaniając upiększeniami z żelaza. Czarne twarze, zniekształcone zawieszonymi w nosie pałeczkami i upiększone potwornymi kokami, nie pozostawiały żadnej wątpliwości, istoty te oczywiście nie mogły mieć innych zamiarów, jak zapanować nad całą procesją i wciągnąć ją do piekła. Dziady i baby podnieśli okrutny wrzask i rozbiegli się w różne strony przyciskając do piersi ikony. Chłopcy rzucili się do stajni i do krowiarni, ale było już zapóźno, zwierzęta były stracone.

Szymon wściekły, pierwszym polanem, które mu wpadło w ręce, wysadził okno i wlał do chaty. Po chwili ukazała się w oknie nagle siwa, brodata głowa i Szymon krzyknął z chaty.

— Bierzcie dziada! niechaj mu...

Chłopcy wzięli dziada, a Szymon wyskoczył przez inne okno i zaczął skakać po zielonym mokrym podwórzu, ratując się od oparzeń.

Halina Dudowa.

nie przetnie. Najsilniejsze uderzenie topora nie jej nie zaszkodzi, nóż kościany zmięknie, jak kawałek błota, a ostrze stalowego noża — w rodzaju naszych noży — skręca się natychmiast jak wiór. No, cóż mi dasz za tajemnicę takiego odwaru?

— Daruję życie — odrzekł Makamuk przez tłumacza.

Majewski roześmiał się pogardliwie.

— I zostaniesz aż do śmierci niewolnikiem w moim domu.

Polak roześmiał się jeszcze pogardliwiej.

— Każ rozwiązać mi ręce i nogi, wtedy pogadamy — rzekł.

Wódz dał znak — Majewski, poczuwszy się wolnym, skreślił papierosa i zapalił.

— Nie ma na świecie takiego czardziejskiego środka. I nie może być. Ostrze noża mocniejsze jest od wszelkich czarów.

— Wódz nie był łatwowiernym, tym razem jednak poczył się wahać. Złodzieje futer posiadali tyle różnorodnych sztuczek. Widział już nie jedno to też nie zupełnie szczerze wątpił.

— Daruję ci życie i nie będziesz niewolnikiem — oświadczył.

— Więcej. —

Majewski grał swoją grę z takim spokojem, jakby chodziło o lisją skórę.

— Mój odwar jest potężny. Nieraz już ratował mi życie. Żądam zań sani z pełnym zaprzęgiem psów i żądam, aby sześciu najodważniejszych strzelców odprowadziło mnie przez lasy w dół rzeki, aż do miejsca, skąd tylko jeden sen pozostanie do Michajłowskiej re-duty.

— Musisz pozostać między nami i nauczyć nas wszystkich swych sztuczek — brzmiała odpowiedź.

Majewski wzruszył ramionami i milczał. Puszczał dym z papierosa w lodowate powietrze i przyglądał się ciekawie temu, co pozostało z wielkiego kozaka.

— A ta blizna! — zawołał nagle Makamuk, wskazując na szyję Polaka gdzie pozostał wyraźny ślad noża po jakiejś bójce jeszcze z czasów Kameczatki. — Twój odwar nie jest dobry. Ostrze noża jest od niego ostrzejsze.

— Silny człowiek uderzał tym nożem — zgodził się flegmatycznie Majewski. — Silniejszy niż ty, silniejszy niż twój najlepszy bojownik. Silniejszy nawet niż ten tu...



# Rozrywki umysłowe

## LOGOGRYF

Z podanych sylab utworzyć 16 wyrazów, których początkowe litery czytane z góry na dół dadzą aktualne rozwiązanie.

1. Współczesny poeta chiński
2. Miasto na Śląsku
3. Rodzaj materiału
4. Nazwa liczby
5. Znakomity pisarz polski
6. Zboże
7. Stolica Kanady
8. Ptak pospolity
9. Imię jednego z bohaterów Trylogii Sienkiewicza
10. Państwo w Europie
11. Pora roku
12. Kraj w Azji
13. Ocean
14. Utwór literacki
15. Rzeka w ZSRR
16. Gatunek grzyba jadalnego.

## Sylaby

A, ca, da, die, fry, in, ka, ka, la, lak, le, lin, ma, maś, muś, na, ni, nia, no, nu, o, o, o, ot, ó, pię, po, psze, rom, sem, ski, ta, tak, tlan, tyk, wa, we, wro, zi, że.

## Wizytówki

*Eryk. N. Smukoi*  
Kalisz

Znakomity humorysta polski, pisarz.

*Roman Syhowski*  
Olza

Znakomity kompozytor polski

Znowu końcem nogi dotknął kozaka, którego widok był już prawie nie do zniesienia, i w którego półciartowanym ciele umęczone życie miotło się jeszcze, wyło i broniło się śmierci.

— Przy tym odwar był słaby, ponieważ w tamtej miejscowości nie rosły ziola pewnego gatunku, których tu widzę pełno w całej okolicy. Tak, tu odwar byłby mocny.

— Pozwolę ci odejść w dół rzeki — odpowiedział po chwili Makamuk.

— A sanie, psy i sześciu ludzi dla obrony otrzymasz również.

— Zbyt jesteś powolny, — brzmiała chłodna odpowiedź — nie od razu przyjąłeś moje warunki i przez to obraziłeś ciężko moją moc czarodziejską. Za karę dasz teraz więcej. Żądam stu skór bobrowych (Makamuk zgrzytnął zębami), żądam stu funtów suszonej ryby, (Makamuk skinął głową, ponieważ ryb było pod dostatkim i tanio za nie płacono), żądam drugiej pary sani, ponieważ potrzebne będą pod skóry i ryby. Musisz również zwrócić mi mój karabin. I miej się na baczności, jeśli bowiem ta cena ci się nie podoba, za chwilę wzrośnie trzykrotnie.

Jakąga podszepnął coś wodzowi.

— Ale jakże sprawdzę, że odwar twój jest dobry? — zapytał Makamuk.

— Bardzo łatwo. Przede wszystkim pójdę do lasu.

Tu znowu Jakąga rzekł coś cicho do wodza, na

którego twarzy odmalowały się natychmiast podejrzliwość i protest.

— Możesz posłać ze mną dwudziestu myśliwych — dodał Majewski.

— Widzisz, muszę przecie zebrać ziola i korzenie, na których zgotuję mój odwar. Potem, kiedy postawicie tu dla mnie dwoje zaprzężonych sani, naladujecie jak żądam, rybą i skórami bobrów, zwróćcie mi strzelbę i dacie sześciu ludzi do mego rozporządzenia — zgotuję płyn czarodziejski natrę nim sobie szyję i położę głowę na tym oło wielkim pniu. Wtedy może najsilniejszy twój myśliwy, możesz zresztą ty sam, wziąć siekierę i uderzyć mnie trzykrotnie po szyi.

Makamuk stał osłupiały, z otwartymi ustami, zupełnie oszołomiony tą podziwu godną sztuką podłych złodziei futer.

— Lecz stawiam za warunek — dodał skwapliwie Polak, że pomiędzy każdym uderzeniem na nowo natrę sobie szyję czarodziejskim płynem. Siekiera jest ciężka i nie chcę tu żadnych omyłek.

— Wszystko, o coś prosił, będzie twoje — zawołał Makamuk w nagłym przystępie zachwyty. Rozpoczynaj czary!

Majewski zwyciężał lecz zdławił w sobie przedwczesną pychę. Grał stawkę rozpaczliwą, ostateczną i nie mógł się poślizgnąć. Arogancko oświadczył: — Zbyt powolny byłeś w ustępstwach. Moja moc czarodziejska została obrażona. Żeby zmasać obrazę, musisz mi oddać swoją córkę.

C. d. n.

## Strzały za wsią

(opowiadanie)

Świat się uśmiechał. Wszystko tchnęło życiem i swobodą poranka. Uśmiechały się zbocza, wznie-  
sienia pokryte lanami zbóż, lub spiętrzone w po-  
łaci gliniastych i piaskowych usypisk, obrosłe na  
krawędziach i dolinach zagajnikami. Uśmiechała się  
wiosna przylepiona do zbocza, kryjąc biel ścian  
wśród sadów. Mieniała się rosą łąka, polyskująca  
falekami jezior, nad którymi stały głowiaste wierz-  
by w blaskach jeszcze różowego słońca. Śpiewało  
płactwo ukryte w sadach, kukła kukulka w to-  
polach nad Wisłą, kwiliły z łąk czajki, pod kępą  
piał bażant i bzykały pszczoły.

Świat trząsał się życiem, wznosząc myśl i ser-  
ce w górę, gdzie dzwonił skowronek.

We wsi budził się ruch. Jakiś gospodarz je-  
chał w pole, nasunawszy na oczy kapelusz. Na  
wozie miał radio, w ręce dzbanek z wodą. Za wsią  
skreślił wózkiem w górę. Zdjął kapelusz przed fi-  
gurą św. Izydora, odsłaniając młodzieńczą twarz,  
dał koniom po bacie i pojechał w stronę podmiej-  
skich pól.

We wsi słychać było echo klekotania wozu,  
skrzyp żórawia przy studni, poszczekiwanie psa  
na pojące się przy osuszonym korycie krasule. Nad  
wszystkim przelatywał dźwięk młotów z kuźni, co  
stała przy szosie za mostem.

Z końca wsi szedł, prowadząc tłustego konika,  
chłopiec, przecierając zaspane oczy. Kilka kroków  
dalej szedł parobek boso, w zgrzebnych spodniach  
i rozpiętej koszuli. Widocznie brat małego. Niewy-  
spane, siwe oczy podejrzliwie patrzyły na szosę ku  
Sandemierzowi, wysadzoną starymi drzewami, lub  
odwracał się w stronę Zawichosta. Czasem patrzył  
na białe chaty, wśród powodzi sadów i kwiatów  
malowniczo wyglądające na tle wzgórz. Mijał za-  
grode soltysa. Soltyska wyprowadziła pewnie chłopca  
w pole, bo sama rwała truskawki.

— Szczęść Boże — rzekł starszy chłopak.

— Bóg zapłać, do kuźni Guciu?

— Tak.

Soltyska postawiła koszyk na grzędzie i po-  
deszła do płotu.

— Co słychać, Guciu?

Chłopak popatrzył w koło i rzekł:

— Coś nie w porządku, bo w nocy strzelanina  
była w Zawichoście, a tak to więcej nic nie wiem.  
Pójdę.

Soltysce ręce opadły — Ach Boże... — zacięła  
zęby i poszła w ogród. Świat wydał jej się teraz  
jakby było zaćmienie. Na wszystkim zdało się za-  
wisnął cień niemieckiego hełmu, a w myśli wierci-  
ło „W nocy strzelanina była”.

W kuźni leciały iskry, buchał ogień, trzeszczał  
koks. Terminator nucił pod nosem, dmąc w miech,  
majster coś kombinował przy ogniu, drapiąc się za  
uchem. Czeladnik stał przy kowadle wsparty na  
młocie w blasku łuny ogniska, w zamyśleniu zwie-  
siwszy głowę.

Lu!

Na głos majstra poderwał młot i prał z wielką  
siłą w sypiące iskrami żelazo. Buch! Buch! Buch!  
— Stop! — Majster podstawił stempel. Buch, buch,  
buch. Przystawił młot — buch, buch. Po kilku se-  
kundach trzymał majster w kleszczach jeszcze  
czerwoną podkowę.

W tej chwili przed kuźnię zaszedł chłopiec  
z koniem, a za nim starszy.

— Szczęść Boże, dzień dobry.

— Bóg zapłać, jak się masz. Akurat trafiłeś,  
zaraz kujemy.

Majster odwrócił się jeszcze do ognia z pod-  
kową, a terminator nadął się jak miech, by zaim-  
ponować malcowi, patrzącemu nań ciekawie.  
Czeladnik doszedł do parobka:

— Nie wiesz co tam było?

— Nie, Józek pojechał na wywiad.

Obaj mieli dziwnie przygnębione miny. Wtem  
do kuźni wpadł Józek Guz.

— Dzień dobry, chodźno Gutek.

Wyszli przed kuźnię. Józek miał wypieki na  
twarzy.

— Raz, dwa się uwiń — mówił — wyciąg fu-  
jarkę i KBK i przyleć w lipki za Izydorem. Jakby  
Władka wyciągnę?

— To ja zrobię — rzekł Gutek — a ty leć.

Parobek wrócił do kuźni z pozornie obojętną  
miną. Przeszedł blisko czeladnika i szepnął:

— Władek, zbiórka w lipkach. Ja już idę. —  
Potem drapiąc się w głowę mówił do malca:

— Potrzymaj kopyta, a ja zaraz przyjdę, po  
maliny kupiec do dom przyjechał.

Terminator ruszył się i rzekł: — Majster hy-  
cuje. —

Stary sięgnął po podkowę. Położył ją na ko-  
wadle i mruknął — lu — Czeladnik ścisnął go-  
rączkowo młot: buch, buch, buch. Wtem puścił młot  
i syknął: — Zadra mi wpadła. — Terminator  
chwycił za młot.

— Ja skoczę do domu, to mi siostra wyjmie  
zadkę.

— Leć, ino się śpiesz.

Władek skoczył jak opętany. Zaraz za kuźnią  
odsłonił oko, rzucił pod płot fartuch, ale zamiast  
do domu, skreślił pedem w górę. Dyszał, lecąc mię-  
dzy zbożami, jak zając. Wyleciał pod figurę na  
skrzyżowaniu drogi. Rozejrzał się. Zbocze ciągnęło  
się półkolem, otaczając zieloną dolinę, przeciętą  
wsłęgą Wisłą. Koniec tego zbocza, zataczając łuk,  
urywał się stromo nad modrymi falami. Władek  
tam skreślił.

Leciał schylony między żytem, nie widząc  
piękna czerwonych maków, błękitu bławatów, nie  
słyszając śpiewu skowronków. Prędeż, prędeż. Do-  
leciał nad wapienne urwisko, podmywane przez  
Wisłę. W krzakach głógów i róży, przyczepionych  
do skały, leżało 6-ciu chłopców. Dwóch obserwo-  
wało pola, a reszta szosę, wijącą się; jakby za-  
wieszoną w połowie wysokości skał. Gutek już le-  
żał przy erkaemie, za obrośniętym mchem wystę-  
pem skalnym. Józek klęknął.

— Chłopcy — rzekł — te strzały, cośmy wczoraj słyszeli na zbiorce to w Zawichoście. Szwababy bili do Sokalskich. Aresztowali ich trzech, Skorupę jakichś dwóch obcych. Tutaj musimy...

Przerwał. Z za zakrętu szosy zakrytego skałą słychać było dudnienie wozów. Twarze chłopców nabrzmiały. Serca zaczęły mocno bić.

— Władek, ty do erkaemu, Gutek; podaj mi taśmy. Strzelać mało i nie w swoich. Resztę zobaczymy.

Podsunał się w macierzanekę nad urwisko repetując karabin. — Uwaga. —

Chwila napięcia. Z za zakrętu wyjechał jeden wóz, drugi, trzeci i bryczka. Na drugim; między Niemcami, siedziało dwóch cywilów. Na trzecim — czterech. Na pierwszym wozie i bryczce siedziało po 6-ciu Niemców. Twarze patrzących przez celowniki chłopców skamieniały. Tych dwóch też znali. To byli „Zbik” i „Sowa”; od „Tarzana”. Niedawno oni kwaterowali we wsi.

Dudniły wozy. Szwababy czuli się widocznie dosyć pewnie. Przejechali przez most i poczuli się zbliżać pod skałę. Chłopcy napięli nerwy. Józek drgnął.

— Drużyna ognia!

Huknęło kilka strzałów. R.K.M: pruje krótkimi seriami, ręczne wtórują. Na szosie zawirowało. Spłoszone i ranne konie kwicząc zaczęły wierzgać i wspinać się. Powstał kurz i szarpanina. Szwababy prysnęły z wozów jak stado spłoszonych wróbli. Skaczą z urwiska, by się schronić w zagłębieniach przy wodzie. Wśród huku i dymu słychać głos Józka. — Tutaj chłopcy. Do góry, prędzej.

Aresztowani nie czekali. Czterech, związanych kablem, pchało się, podszadzało; wspinając się na wapienne wzgórze, chwytając się brodatych mchów i korzeni. Prędzej, prędzej! Osuwały się występy skalne spod nóg. Nad głowami leciały kule wśród huku i dymu. Józek wyciągnął rękę i ciągnie już za kabel czterech ludzi. Dwaj obcy już się gromadzą na zrab. Z dołu zaczęło trzaskać. To szwab schowany za kamieniem pruje z MP. Władek go maca. Szwab skoczył w dół i ucieka nad wodą. Reszta ich już oprzytomniała. Niemieckie kule syczą koło uszu. Z tyłu słychać głos Józka — RKM ostania odwrócił! Reszta do tyłu!

Teraz dwóch osmalonych chłopców skoczyło za krawędzie. Rwą miedziami, zostawiając strzelających w pustą skałę Niemców.

Pod figurą doznali odbitych kolegów. Stanęli. Na białych twarzach aresztantów widać łzy. Wyciągają ręce. Władek uśmiecha się pierwszy raz dzisiaj. Józek jeszcze gorący.

— Więjmy — mówi — w wąwozy.

Władek stanął ocierając czoło. — To bierzcie maszynkę, a ja idę do pracy. Ty, Gutek; też zaraz przychodź. Po co ma się kto domyślać.

Wies była jeszcze zdrętwiała po strzałach, kiedy do kuźni wszedł Władek. Majster biały stał w drzwiach, a terminator jak mysz siedział pod paleniskiem.

— Co to było? — spytał majster wchodzącego. Józek przymrużył oczu. Drżąc jeszcze zawiązywał tartuch.

— Nie wiem, wychodzę z domu, a tam biją. Wlazłem w krzaki, a kiedy się uciszyło to idę. Strach, a cóż robić, trzeba żyć. A teraz skończymy kuć twego konia, rzekł do wchodzącego Gutka.

Kasprzykowski Stanisław

JÓZEF OZGA-MICHALSKI

## NOGA

Stary Bzinek z dachu spadł starego.  
Wybił nogę.

Ze dwa cale krótsza mu się wydała.

— Swojego nie daruj!  
Choć niemala jest noga moja,

bądź wola Twoja!

Jako w niebie

— tak i na ziemi!

Na dachu przecie stałem  
wsparty na drabinie. —

Tak duma stary Bzinek  
przy kominie.

Do kościoła idzie stary  
i kosturem nadrabia dwa cale.

Już mu dechu zabrakło

dla kostura zabrakło.

— Jakże nogę wydłuże  
gdy do środka jom wypychom  
nosząc brzuch, łeb i plecy garbate? —

Poszedł prosto w gromadę

— Kumie, mówie, powiadom  
z takim nogom zawadom  
idziecie?

— A gdzież wam to wlazła ta noga? —

Bóg mnie skoroł na dachu  
wiatrem nagnął mi strachu  
i spodem! —

— A gdyby jom wyciognoć,  
wyciepnąć ze środka? —

— — Ciogreli, siepali  
cholewe mi urwali  
— nie mogli!

— A gdyby tak świętego wynaleźd  
i nowennę odprawić  
a i w karczmie się zabawić  
to by wam tak wylazła ta noga  
jak kolek ze stoga,  
gdy zdymnie się siano. —

— — Ano — Wola Boska,  
do ołtarza dokuśtykom  
sie jesce.  
A dwa brakujące cale  
Bogu ofiaruje ku chwale  
— — — — niech mo!

Ale nie naję sie!

# Wiciowa Trybuna

## Uwaga Skierniewice!

### Głos instruktora powiatowego P. R.

Koleżanki i Koledzy!

Znany Wam jestem, gdyż często spotykaliśmy się na zebraniach wiciowych sam bowiem jestem Wiciarzem. Po kilka razy zwracałem się do Was, o pomoc w zakładaniu zespołów Przysposobienia Rolniczego. Któż bowiem ma mi pomóc, jak nie zorganizowana młodzież wiejska? Wierzyłem, że przez Was najlepiej będę zrozumiany, a tym samym będę mógł wywiązać się z trudnego swego zadania. Otóż pytam się Was Wiciarze, powiatu skierniewickiego czy zaufanie moje do Was ma być zachwiane? Apele moje wygłaszane na konferencjach powiatowych i na zebraniach w poszczególnych kołach nie przyniosły wyniku zadawalającego. Muszę być szczerzy i podkreślić, że nie wszędzie zarządy wiciowe doceniły ważność oświaty rolniczej. Zespołów Przysposobienia Rolniczego w planie na rok 1947 wyznaczyłem 30, a mam zgłoszonych dziesięć przy siedmiu kołach wiciowych. A przecież wiem, że dużo więcej istnieje kół i że choćby przy każdym koło powstał jeden zespół. — Liczbę tę bym otrzymał. Więc pytam się: co porabiają pozostałe koła? Jakie w nich istnieją sekcje? Usłyszałbym odpowiedź: sekcja teatralna, sportowa, oświatowa..

Słusznie, bo brak jest kulturalnej rozrywki na wsi, bo młodzież chłopska winna być dobrze rozwinięta fizycznie, bo wsi potrzeba oświaty ogólnej. Ale czy nie od odczuwania potrzeby polepszenia sposobów gospodarowania? Czy nie odczuwanie potrzeby głębszego poznania zawodu rolnika, a przez to polepszenia bytu na wsi? A to osiągnąć można jedynie przez oświatę rolniczą, poprzez uczenie się młodzieży, która przez racjonalne gospodarowanie na swych polatkach doświadczalnych oddziaływać będzie na całość gospodarstwa, a tym samym i na całą wieś.

Pytam się Was, Wiciarze raz jeszcze: kto mnie ma zrozumieć lepiej jak Wy? Spodziewam się, że odezwa moja do Was nie będzie bezowocna, że otrzymam od Was w najkrótszym czasie rozdane formularze, lub dostanę zapotrzebowanie na nie. Czas to już ostateczny, więc nie zasypiajcie! Pamiętajcie, że P. R. to szkoła zawodowa idąca do Was — młodych rolników. Nie dopuście więc, aby została ona zamknięta z powodu małej ilości zespołów. Wykorzystujcie ostatecznie dni terminu! Umieście żądać od powiatowego instruktora Przysposobienia Rolniczego, bo jego obowiązkiem jest służyć zawsze Wam pomocą i poradą w dziedzinie P. R. W przeciwnym razie powiatowy instruktor P. R. będzie musiał zrezygnować ze swego

stanowiska nie będąc rozumianym przez swoich, a wie rzajcie mi, że z krzywdą to tylko będzie dla Was i waszej przyszłości. Pójdźcie więc za przykładem takich kół, jak: Miodniewice, Samice, Głuchów, Złota, Kawen czyn, Rowiska Nowe i Wola Pękoszewska, oddając zgłoszenia z zespołami Przysposobienia Rolniczego w jak najszybszym czasie, bowiem termin właściwy już dawno minął.

Z pozdrowieniem wiciowym

Salomon Antoni.  
Powiatowy instruktor P. R.

## Nasza Praca

My, młodzież chłopska z pod Piątku (pow. łęczycki) pracujemy! Wnosimy w życie społeczne naszej okolicy szczerą intencję, uczciwość i solidarność w pracy. Dążymy do wspólnego celu. Mamy już poważne osiągnięcia. Pierwsza biblioteka od istnienia naszej wsi powstała właśnie u nas w kole. Czytamy ile się da, na ile czas pozwoli. Rozumiemy, że musimy wchłonąć maksimum wiedzy, by stać się naprawdę wolnym, pełnym człowiekiem. W długie wieczory zimowe prowadziliśmy pracę samokształceniową. Mamy duże trudności z powodu różnego wykształcenia. (1, 2, 7 oddziałów szkoły powszechnej). Uczymy się pisać, czytać, tabliczki mnożenia i obliczania powierzchni, (co nam potrzeba w P. R.)

W tej chwili życie wsi domaga się nowych rzeczy. Wola do nas o oświatę rolniczą, czeka na organizowanie dziecińców, chce Ośrodków Zdrowia, doprasza się o cały szereg fachowych kursów i t. d. To są nasze najaktualniejsze sprawy. Radzimy sobie jak możemy. — Dzisiaj koła wiciowe mają swych delegatów w Gminnej Radzie Narodowej. Teraz przy układaniu preliminarza budżetowego dobrze będzie, aby nasz radny uświadomił sobie ważność swego posłannictwa.

Dotąd przez dwa okresy letnie 1945 i 46 roku w naszej wsi czynne było pierwsze w gminie „przedszkole” dla dzieci od lat 3 do 7. Koleżanki żywo i czynnie interesowały się małymi „szkrabami”, oraz kwestią utrzymania kierowniczkę przedszkola.

Chęć, by stanąć na wysokości zadania pełniła je dnego z kolegów (5 jest w wojsku) na 11 miesięczny kurs w Szkole Rolniczej, drugi z kolegów uczestniczył na kilkudniowym kursie P. R.

Za prowadzone w okresie letnim prace P. R. dostaliśmy nagrodę w postaci 10-ciu książek fachowych, garnka i bron lekkich, których używa się po siewie. Ostatnio zorganizowany mamy 3-miesięczny kurs kroju i szycia, na którym uczestniczą 22 kobiety. Oprócz powyższych prac staramy się wyrugować ogólnie przyjęte mniemanie, że „przecież nadejdą kiedyś lepsze czasy...” Tych, którzy liczą wyłącznie na sprawiedliwość Boską i cieszą się nadzieją, że „jeśli nie na tym

łez paćole, to może choć po śmierci pozwoli im Najwyższy doznać odrobiny szczęścia" — staramy się przekonać, że prawdopodobnie szczęście niebieskie ma być nagrodą za dobre czyny na ziemi, a szczęście ziemskie mamy wywalczyć sobie sami!

Wiciarka  
z Kola Mł. Wiejskiej w Bielicach  
gm. Piątek.

## Klub dyskusyjny Wiciowej Drogi jego pierwsze osiągnięcia

W lutym br. powstał z inicjatywy Komitetu redakcyjnego Klub dyskusyjny Wiciowej Drogi. Ambicją inicjatorów Klubu było stworzyć zwartą grupę, zdolną do przepracowywania zagadnień poruszanych przez Wiciową Drogę oraz wszelkich innych zagadnień związkowych. Dzisiaj, po dwumiesięcznym istnieniu Klubu, możemy stwierdzić, że stanowi on rzeczywiście roboczą grupę zdolną pracować zespołowo. W dyskusjach poza starymi wiciarzami coraz wyraźniej zaznaczają się t. zw. „wstępniacy”, studenci kursu wstępnego na wyższe uczelnie (nieдавно absolwenci 5-miesięcznego kursu przygotowawczego na wyższe uczelnie).

Dotychczas Klub odbył 7 zebrań. Po za ceną dla komitetu redakcyjnego krytyka metod redagowania Wiciowej Drogi (pierwsze 3 zebrań) Klub dyskusyjny wypracował projekt nowej organizacji pracy dla Akademickiego Koła „WICI”. W skrócie szkic tego projektu wraz z uzasadnieniami, podajemy.

Praca Akademickiego Koła winna skupiać się w sekcjach grupujących studentów poszczególnych wydziałów, wzgl. uczelni. Projektuje się utworzenie sekcji: rolnej, spółdzielczej, zdrowia, szkolnej, prawnosamorządowej, artystycznej - imprezowej, ideologiczno-programowej, i innych (w miarę realnych możliwości). Powyższą koncepcję uzasadnia się dwoma momentami: 1) koniecznością staje się podjęcie na szczeblu wojewódzkim pracy opartej na specjalizacji fachowej. Praca taka może być prowadzona jedynie przy gremialnym udziale Wiciarzy - Akademików. Np. sekcja rolna skupiająca Wiciarzy studiujących na wydziałach rolnym i przemysłu rolnego W. S. G. W. prowadzi w sposób fachowy (a na to ją stać) prace na oddziale Przynasobienia Rolniczego. Sekcja taka staje się trzonem przyszłego wydziału P. R. przy Zarządzie Wojewódzkim.

2) Klub dyskusyjny doszedł do wniosku, iż student akademik będzie mógł pracować w terenie więcej i produktywniej jeśli będzie to praca w dziedzinie, w której się kształci i w dziedzinie, w której postanowił w przyszłości pracować zawodowo.

Praca poszczególnych sekcji winna być prowadzona w trzech zasadniczych płaszczyznach:

1. Praca terenowa w dziedzinie swojej specjalności.
2. Praca w zakresie swojej specjalności prowadzona pod aspektem społecznym.
3. Popularyzacja swojej dziedziny w całym akademickim środowisku wiciowym

Podajemy przykład: sekcja zdrowia, w skład której wchodzi studenci medycyny, stomatologii i farmacji.

ad 1. organizowanie i obsługa kursów z dziedziny zdrowia, propaganda higieny, zakładanie ośrodków i spółdzielni zdrowia, opracowywanie „Poradnika zdrowia”, — w Wiciowej Drodze, organizacja opieki sanitarnej nad uczącą się młodzieżą, chłopską w Łodzi.

ad 2. Rozpracowywanie teoretyczne zagadnień medycyny społecznej, zbieranie danych liczbowych w dziedzinie zdrowia na wsi i t. d.

ad 3. Odczyty, referaty, dyskusje z zakresu zagadnień zdrowia — w kole akademickim.

Osobnego omówienia wymaga wspomniana wyżej sekcja ideologiczno-programowa. Sekcja ta miałaby skupiać przede wszystkim studentów socjologii, wydziału społecznego W.S.G.W., oraz kierowników poszczególnych sekcji fachowych. Zadaniem jej byłoby dostarczać prelegentów z referatami ideowo-programowymi — na wszelkie kursy wiciowe, oraz przepracowanie w sposób naukowy zagadnień światopoglądowych i programowych związku. Ażeby praca ta prowadzona była na odpowiednim poziomie, wydaje się nam konieczny wyżej wymieniony skład personalny tej sekcji.

Tak pokrótce przedstawia się nowa koncepcja pracy Akademickiego Koła, wypracowana na Klubie dyskusyjnym Wiciowej Drogi. Specjalnie do tego celu powołana przez Walne Zebranie Akademickiego Koła komisja, która ma projekt ten rozpatrzyć i jeszcze z przedstawicielami Klubu dyskusyjnego przedyskutować. Nie wiemy jeszcze dzisiaj, czy projekt ten będzie przez Komisję przyjęty w całości, czy zmodyfikowany, czy też całkowicie odrzucony (choć to ostatnie wydaje się mało prawdopodobne). Pewnym jest jednak, że projekt ten jest poważny, a wartość jego zwiększa się przez to, iż powstał w pracy zespołowej, zrodził się z rzeczowej, rzetelnej, chociaż chwilami zaciętej dyskusji.

J. Serejski.

## Nasza Wieś

Jak tylko sięgnę pamięcią w przeszłość, wciąż mam przed oczyma obrazy nędzy i biedy chłopów. — Samolubna polityka odgradzała zawsze chłopów od świata, zamykając go we wsi. Wiedza była tu tylko złoty promyk zglądającym przez szpary do podziemnej jamy. Duch jednak chłopski nie zamarł, lecz przeciwnie, przeciwności hartowały go, i tak właśnie było w naszej wsi.

Piaszczyste gleby będące własnością gospodarzy Parczowa nie wyżywiły nigdy ich rodzin, zmuszonych szukać zarobku u obcych. Najbliższym miejscem pracy był tu dwór w Białaczowie. Płaca była strasznie niska, poniżej poziomu egzystencji. Ludzie jak zwierzęta jadał lebiędę, gdy szanowny pan dziedzie wytwarzał ze zboża i kartofli wódkę używaną na ucztach i zabawach.

Nie inaczej postępował i rząd. Za niewybielenie płotu, kamieni przydrożnych otrzymywał gospodarz karę, albo musiał odsiedzieć w areszcie. To było właśnie gnębienie. Zamiast dać chłopu szkołę i uświadomić go co do jego obowiązków — przysyłano mu karę.

Kiedy wróg wysunął swoje pazury po polską ziemię, wieś nasza dużo ucierpiała. Chłopi, którzy pracowali żywo w Ruchu Ludowym zginęli z ręki wroga w obozach Oświęcimia i innych. Sprawcami ich aresztowania byli miejscowi faszyci, którzy tylko czekali okazji, do zaprzędania swych braci.

Po wojnie widząc czas i pole do działania pierwsi w powiecie opoczyńskim zawiązaliśmy samodzielnie koło młodzieży wiejskiej. Zdolnych wysłaliśmy do szkół, innych do szkół zawodowych, lecz wszyscy przyrzekliśmy sobie pracować dla wsi. Przy naszej pomocy stanęła szkoła powszechna, naszym staraniem odbywają się częste przedstawienia, które zastępują kina i teatry miejskie. Naszym wysiłkiem wieś posiada chodniki wysadzone pod rząd drzewami. Mamy jeszcze szereg planów, ale nie wyjawimy ich, aż nie zostaną zrealizowane.

Mamy i przeszkody, a nimi są: nierealne ustosunkowanie się do nas Zarządu Gminnego w Białaczowie, jak też i innych jednostek miejscowych. Jest to dowodem, że jeszcze nie wszystkie stanowiska w urzędach zajmują odpowiedni ludzie. Zbyt mało się tym nie przejmujemy, gdyż dużo naszych wiciarzy jest dziś w szkołach i kiedy je ukończą, zastąpią w urzędach przedwojenne elementy.

Pracujemy, i pokazujemy, że jesteśmy zdolni do wszystkiego.

Antoni Włodarczyk  
z Parczowa pow. opoczyński

## Moje wspomnienia z Chwałkowa

Kurs nasz rozpoczął się 17-go października 1946 r. Na otwarcie Kursu przybył do nas delegat T.U.L. kol. Zbiński. W przemówieniu swoim w kilku słowach nakreślił nam doniosłość U. L. i ich zadania w wychowaniu młodzieży chłopskiej. Szczerze mówiąc słowa te głęboko zapadły nam w serca, dodając otuchy do nieznanym nam jeszcze zajęć. Ponieważ na Kursie byli koledzy pozbierani z różnych stron, nawet z Ziemi Odzyskanych i jeden z pow. tureckiego, to też nie odrazu zacieśniła się między nami tak pożądana, szczerza braterska koleżeńska. Jednak pod wpływem ciągłego obcowania wytworzyła się z czasem miła, rodzinna atmosfera. Nasi wykładowcy włożyli także wiele mozolnej pracy w celu wykorzenienia z nas różnych „naciętałości”. Zdarzyło się na przykład, że jeden kolega miał deskę z łóżka powyciąganą i skośnie poukładaną i wypadło mu spać na podłodze, albo z któregoś z kolegów ściągnięto pierzynę i gonili ją po korytarzu... Jednak na skutek wspomnianych wykładowców i naszego coraz mocniejszego wciągania się w naukę przyszedł z czasem kres tym wybrykom. Jeszcze do dziś dnia stoi mi przed oczyma twarda, pełna ofiarności i poświęcenia w pracy postawa naszych wykładowców. Ich postawa będzie nam zawsze drogowskazem w życiu... A gdy tak prędko i nieubłaganie nadszedł dzień 3-go marca, w którym mieliśmy się wszyscy rozstać, wszyscy z niemalym żalem żegnaliśmy się, życząc sobie przede wszystkim pomyślności w pracy społecznej. Zakończyliśmy nasz Kurs bardzo uroczystie, przy udziale zaproszonych gości. Po mszy i przemówieniach okolicznościowych zainscenizowaliśmy urywek z książki „Płacówka” Prusa o przywiązaniu chłopca do zie-

mi, następnie z „Chłopów” Reymonta — „Siew Boryny” oraz piosenkę „Miał ojciec Michał trzy córki”. Na zakończenie sprzedawaliśmy gościom wydane przez nas „Jednodniówki”. Rozstaliśmy się wszyscy z przeświadczeniem, że ta braterska miłość koleżeńska, która nas wszystkich łączyła będzie się potęgować przez dalszą współpracę na gruncie wsi.

I. Grześkowiak.

## Łowickie pracuje!

Powiatowy Związek Młodzieży Wiejskiej „Wici” w Łowiczu postawił sobie nie łatwe zadanie — w każdej wsi w powiecie ma istnieć koło „Wici”. Nie tylko na wsi, ale i młodzież chłopska w miastach powinna znaleźć się jak najprędzej w naszej organizacji. I tak zorganizowano grodzkie koło „Wici”. Zarząd Powiatowy ma niepołtyną nadzieję, że koło to, złożone z młodzieży kształcącej się, pomoże Zarządowi we wszelkich pracach, a szczególnie w pracy oświatowej służąc prelegentami.

J. Zabost.

Kier. Sekcji org. Zw. Pow.



Kol. Zabost Józef — Łowicz: Komunikat Wasz zamieszczamy: Prosimy o krótkie miesięczne sprawozdania i raporty z działalności:

Kol. Smalkówna L. — Bielice: Opis Wasz wykorzystujemy: Prosimy o dalszą współpracę: Za życzenia dziękujemy i przesyłamy wzajemnie:

Kol. Grześkowiak Stefan — Michałowo pow. Gostyń: Nadesłany materiał w części wykorzystaliśmy. Czekamy na zapowiedziane prace na temat Waszego koła!

Kol. Felka Stanisław — Łódź: Prosimy o zgłoszenie się w redakcji w sprawie przekazanego nam artykułu.

Kol. Włodarczyk Antoni — Parczów pow. Opoczno: Cieszymy się ogromnie, że nie zapominacie o nas. Piszcie jeszcze, a namówicie także do tego członków Waszego koła. Nie jesteśmy tacy straszni. Waszą pracę — z poprawkami — zamieszczamy.

Kol. Kosel Stanisław — Kol. Józefina pow. Sokółów Podlaski: Sprawę prenumeraty załatwiliśmy.

Koło Młodzieży w Mokrej B. pow. Piotrków Tryb.: Pieńki na prenumeratę otrzymaliśmy i pismo wysyłamy.

Kol. Salomon Antoni, instruktor P. R. — Skierniewice: Waszą odezwę zamieszczamy. Poruszyliście zagadnienie b. poważne i ostatnio ze względu na zarządzenia min. rolnictwa szczególnie aktualne. Wiersza nie zamieścimy — treść miła, ale forma nie pozwala na drukowanie.

Sluchaczki Uniwersytetu Ludowego w Chwałkowie pow. Gostyń: Za życzenia serdecznie dziękujemy, a największym naszym życzeniem jest byćcie do nas koleżanki — taksamo jak i kurs męski — pisali.

# Przegląd wydarzeń

## S. p. Gen. Świerczewski

Dnia 28 marca w czasie inspekcji służbwej zginął od skrytobójczych kul faszystów ukraińskich UPA w okolicach Sanoka gen. broni Karol Świerczewski, drugi w-minister Obrony Narodowej i b. dowódca II Armii, która wslawiła się w walkach nad Nysą Łużycką.

S. p. gen. Świerczewski pochodził z rodziny robotniczej i od roku 1917, przebywając w Rosji walczył po stronie Rewolucji. Po rewolucji pozostaje w wojsku, kończąc Akademię Wojskową w Moskwie, w r. 1936 staje do walki z faszyzmem w Hiszpanii, obejmując dowództwo 14 brygady francuskiej „La Marseillaise” jako „gen. Walter”. Wśród bojowników z faszyzmem „gen. Walter” zdobył sobie ogromną sławę.

Doświadczenie wojskowe nabyte w Hiszpanii pozwoliło S. p. gen. Świerczewskiemu odegrać ważną rolę w organizowaniu w ZSRR Wojska Polskiego. Pod jego dowództwem II Armia w kwietniu 1945 r. forsuje Odrę i Nysę Łużycką i zajmuje Budziszyn, osłaniając pochód marsz. Żukowa na Berlin. Ostatnie wyczyny II Armii pod dowództwem gen. Świerczewskiego to oswobodzenie północnej Czechosłowacji aż po Pragę.

Po zakończeniu wojny gen. Świerczewski zostaje mianowany gen. broni i organizuje D. O. W. — Poznań: Równocześnie zostaje mianowany Gen. Inspektorem Osadnictwa Wojskowego na Ziemiach Odzyskanych, a w 1946 r. II w-ministrem Obrony Narodowej. Odznaczony wieloma orderami krzyżami polskimi, radzieckimi, jugosłowiańskimi i czeskimi, udekorowany zostaje po śmierci Wielkim Krzyżem Virtuti Militari.

Uroczysty pogrzeb odbył się na koszt Państwa w Warszawie.

## Proces Hoessa

Proces Hoessa, głównego kata Oświęcimia i sprawcy śmierci przeszło 4 milionów ludzi, ujawnił światu bezmiar okrucieństwa i odczłowieczenia zbrodniarzy hitlerowskich. Przebieg sądowy wykazał gehennę obozu i krematorium, cały ogrom krzywdy milionów istnień, której nic nie wyrówna.

Hoess zawisnie na szubienicy, ale nie jest to kara, która mogłaby zadowolić ludzkość. Przebieg procesu miał udowodnić, że jeśli nie ma kary za tak niesłychane zbrodnie, to w każdym razie, musi stanowić przestrożę dla przyszłych pokoleń. W tym też sensie proces spełnił swe zadanie, przedstawiając światu moc dokumentów, których nie zapomną następne pokolenia.

## Powódź

Obfite opady śnieżne i wielkie mrozy oraz gwałtowna odwilż spowodowała na całym świecie i w Polsce katastrofalną powódź. Wszystkie główne arterie rzeczne w kraju nie wytrzymały naporu lodu i gwałtownie topniejącej kry i wylały. Kolosalne szkody wyrządził wylew Wisły w rejonie na północ od Warszawy, u ujścia Bugu do Narwi. Zostały zalane tereny o powierzchni do 200 km. kwadratowych. Również Odra i Warta wylały. Nie obeszło się bez ofiar w ludziach. Straty w inwentarzu żywym i martwym oraz szkody w zerwanych mostach (na samej Wiśle 9) sięgają wysokości 5 miliardów złotych.

Mimo natychmiastowej akcji pomocy dla powodziarzy wciąż brak należytych funduszy. Całe społeczeństwo bledze żywy udział w tej pomocy, napływają liczne składki pieniężne i w naturze.

Nikogo nie może zabraknąć w tej akcji

ortyas

## Rada państwowa

27 marca obradowała w Belwederze Rada Państwa, na której dokonano zmian w trzech ministerstwach. Tak więc dwa ministerstwa: Apropowizacji i Handlu oraz Żeglugi i Handlu zagranicznego zostały uszczuplone o resorty handlowe i odtąd zmieniają nazwy na Min. Apropowizacji oraz Min. Żeglugi. Kierownik dotychczasowy Min. Żeglugi i Handlu Zagranicznego dyr. Grossman został mianowany ministrem Żeglugi.

Resorty handlu obydwu ministerstw przejmuje Min. Przemysłu.

Dokonane zmiany świadczą o coraz bardziej rosnącej centralizacji życia gospodarczego, co niewątpliwie przyczyni się do oszczędności w wyniku kasowania rozlicznych gałęzi aparatu administracyjnego.

## W ciągu stu lat 56 wojen

Wojna światowa skończyła się, ale pokój jeszcze nie jest utrwalony. Niecierpliwi — albo tacy którzy sami pragną wojny — mówią o złych czasach, kiedy to wojna wiecznie wisi nad głową człowieka. Ale ludzie ci zapominają że w istocie rzeczy te „dobre czasy” o których mówią z rozczuleniem, nie były znów takie dobre. Prasa angielska obliczyła, że w ciągu stu lat od roku 1846 do 1946 świat przeżył pięćdziesiąt sześć wojen, formalnie wypowiedzianych i formalnie zakończonych podpisaniem pokoju. I to — nie licząc dwóch wojen światowych w których brała udział przeważna część narodów świata.

## Konferencja w Moskwie

Po kilkutygodniowych, uciążliwych debatach ministrów spraw zagranicznych Wielkiej Czwórki, uzgodniono zasadniczo poglądy na sprawę jedności gospodarczej Niemiec. Najważniejsze punkty tej jedności to jednolity plan przywózowo-wywozowy Niemiec, reforma finansowa i swobodny ruch między strzałami.

Nie rozstrzygnięto jeszcze sprawy reparacji, przy czym zarysowały się dwa zasadnicze stanowiska. Molotow domaga się natychmiastowych odszkodowań, czego domaga się również i Bidault. Natomiast Bevin staje na stanowisku, że należy najpierw odbudować gospodarczo Niemcy, aby mogły one spłacić odszkodowania bez ruiny. Marshall przychy-

la się do stanowiska ZSRR i Francji, reklamując jednak zbyt wysokie według niego żądania Zw. Radzieckiego.

Sprawa Zagłębia Ruhry, którego umiędzynarodowienia domaga się Francja, nie została rozstrzygnięta wobec sprzeciwu Bevina.

Cały szereg innych spraw znamionuje różnorodność opinii Wielkiej Czwórki. Tak więc, jeśli chodzi o ustrój przyszłych Niemiec, to W. Brytania chce stworzyć federację Niemiec z rządem centralnym, USA jest za decentralizacją władzy, podobnie jak Francja, ZSRR chciałby centralnego rządu z dwuzbojowym parlamentem.

Historyczne decyzje w Moskwie jeszcze nie zapadły, ale wszystko zdaje się wskazywać, że prognozyki pesymistów były przesadzone. Wobec bardzo różnorodnych i trudnych spraw, dotyczących głównego sprawcy minionej wojny, należy liczyć się z długim przebiegiem debat w Moskwie.

# Apel do Wiciarzy

Chłopskie Towarzystwo Przyjaciół Dzieci przystępuje do zorganizowania w całym kraju w czasie lata kolonii, półkolonii i dziecińców dla dzieci chłopskich. Pragniemy jak największą ilość dzieci wyciągnąć z ziemianek bunkrów i kiepsko skleconych lepianek, — gdzie im tegoroczna zima i ostatnia powódź srogo dokuczyla i dokonała w ich zdrowiu ogromnego spustoszenia.

Dzieci starsze z terenów zniszczonych wysłane będą na kolonie, gdzie otrzymają dobre wyżywienie, opiekę i rozrywki. Poprawią tam swoje zdrowie i nabiorą sił na dalszy okres życia. Dzieci młodsze znajdą przez okres prac żniwnych opiekę w dziecińcach.

Do przeprowadzenia tej akcji trzeba będzie większej liczby wychowawców. Chcemy, żeby to byli ludzie ze wsi. Dlatego organizujemy kursy dla wychowawców i wychowawczyń na koloniach letnich, na które zapraszamy młodzież wiejską i wołamy:

Komu leży na sercu dobro dzieci wiejskich, niech się zgłasza na nasze kursy.

Kursy te trwają 3 do 4 tygodni. Wobec dużego zapotrzebowania będziemy również przyjmowali młodzież z ukończoną szkołą powszechną, byle miała dobre chęci. Oczywiście większe możliwości mają wychowankowie i wychowanki szkół rolniczych, uniwersytetów iudowych oraz wciarze z wyrobieniem w pracy społecznej. Nauka i utrzymanie na kursach jest bezpłatne.

Pe kursie praca na koloniach jest płatna.

Nie zwlekajcie więc i zgłaszajcie się jak najprędzej do Centrali Chłopskiego Towarzystwa Przyjaciół Dzieci, w Warszawie, ul. Sniadeckich 23, załączając krótki życiorys z zaznaczeniem ukończonej szkoły iub kursów oraz pracy w organizacjach.

Więć musi się zdobyć na własnych wychowawców i wychowawczynie na akcje letnią dla dzieci chłopskich.

To musi być ambicją Wiciarzy i Wiciarek i dlatego nie może Was zabraknąć na naszych kursach. Liczymy, że się na Was nie zawiedzimy i że w tej potrzebie zdacie egzamin z wyrobienia społecznego.

Chłopskie Towarzystwo Przyj. Dzieci.

### Książki nadesłane:

#### Wydawnictwa Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik”

1. Czesław J. Cenikiewicz — Biała Jaka str. 210
2. Jerzy Pytlakowski — Wielki cień str. 284
3. Edmund Osmańczyk — Dokumenty pruskie str. 163
4. Jan Parandowski — Niebo w płomieniach str. 279
5. Jerzy Zawieyski — Noc Huberta str. 215

## Składajcie ofiary na powodzian

Wydawca: Spółdzielnia „Prasa Chłopska”, Łódź, Al. Tadeusza Kościuszki Nr. 45.  
Redaguje: Komitet Redakcyjny.

Konto P. K. O. Łódź, III — Nr. 310.

Druk: „Łódzki Instytut Wydawniczy”, ul. Żwirki 17, tel. 206-42

D 011785